

JAK MANNA Z NIEBA

ELŻBIETA BIEŃKOWSKA,
MINISTER ROZWOJU REGIONALNEGO:

Z prawdziwą dumą mogę powiedzieć, że w dziedzinie wykorzystania środków unijnych jesteśmy niekwestionowanym liderem. Z 67 mld euro do wykorzystania wyprzedzamy beneficjentów z krajów Unii o kilka długości. Spośród 2489 polskich gmin tylko 20 nie skorzystało z żadnej formy wsparcia unijnego. Dla porównania: jeden duży projekt z Funduszu Spójności jest wart tyle, co wszystkie fundusze unijne absorbowane przez Malte. Nasze starania niewątpliwie zintensyfikował kryzys, który postawił część biorców pod ścianą, zmuszając ich do intensywnych poszukiwań pieniędzy.

Nawet jednak bez tego czynnika nasza sprawność robi wrażenie. Oczywisty sukces Polski wynika z połączenia olbrzymich potrzeb infrastrukturalnych z inicjatywą i zaradnością. Polacy, wbrew temu, co się o nas mówi, potrafią bardzo sprawnie i rygorystycznie wypełniać procedury unijne. Oczywiście, nieustannie słyszę narzekania na sztywne i bezsensowne procedury biurokratyczne, które sprawiają, że udział w najprostszym choćby projekcie wymaga istnej drogi przez urzędową mękę. Jednak wbrew pozorom ta szczególność ma sens. Nie mówię oczywiście o przypadkach, kiedy trzeba uzasadniać zakup ołówka czy karty telefonicznej. Swoją drogą muszę dodać, że w najbliższym czasie procedury związane z zakupami najprostszymi materiałami do pracy zostaną uproszczone. Faktury, które zalegają w biurach instytucji rozliczających projekty, przestaną być potrzebne.

Dotykamy sprawy ogólniejszej: mechanizmy urzędowe, które wymagają od beneficjentów rozliczania się z każdej wydanej złotówki, pomagają w budowaniu odpowiedzialności za finanse w ogóle. Reguła jest taka: samorządowcy czy pracownicy trzeciego sektora zaprawieni w unijnych bojach lepiej kontrolują wydawanie pieniędzy, które nie pochodzą z programów operacyjnych. W ten sposób budujemy nowy styl działania ludzi odpowiedzialnych za finanse publiczne.

Trudno znaleźć w kraju obszar, którego nie wsparłyby unijne pieniądze. Większość środków przeznaczona jest oczywiście na ciągle olbrzymie potrzeby infrastrukturalne. Budujemy drogi, obwodnice, mosty, kanalizujemy osiedla. Ale są też inne obszary: edukacja, turystyka, ochrona środowiska. Oczywiście, nie wszystko się uda. Kryzys sprawił, że duże programy innowacyjne dla przedsiębiorstw nie spełniły swego zadania – przedsiębiorcy nie zaryzykują obowiązkowego zatrudnienia 200 dodatkowych osób, by otrzymać dotację. Smutny jest też brak zainteresowania unijnym wsparciem ze strony kolejnictwa – z nieznanymi mi przyczynami kolejarze nie przejawiają szczególnej aktywności w walce o dotacje. Nie udało nam się wynegocjować znaczącego wsparcia dla projektów związanych z ochroną zdrowia.

Na szczęście sygnały, które dochodzą do ministerstwa, pokazują, że większość pozyskanych środków wydana jest sensownie, w zgodzie z potrzebami lokalnych społeczności czy instytucji otrzymujących wsparcie. Jeśli jednak np. mieszkańcy gminy mają wrażenie, że projekt mijają się z celem, że nie spełniają oczekiwań, a pieniądze są marnotrawione, proponuję najprostsze rozwiązanie: trzeba w kolejnych wyborach zmienić lokalną władzę. Ministerstwo kontroluje szczegółowo prawidłowość przepływu gotówki, ale nie jest w stanie ocenić, czy każdy projekt spełnia rzeczywiste społeczne zapotrzebowanie. To ważne, bo wraz z 2013 rokiem, kiedy wygasną źródła finansowania obecnie trwających programów, będziemy mogli skorzystać z kolejnych. Chcemy zwiększyć pulę środków do wykorzystania przez Polskę do 100 mld euro.

Będziemy też zabiegać o to, by w nowej polityce spójności zagwarantować możliwość korzystania z dotacji również regionom pozornie bogatym. Przykład województwa mazowieckiego pokazuje bowiem, że nawet najbogatsze regiony w Europie mają olbrzymie, choć często trudno widoczne na pierwszy rzut oka potrzeby. Wystarczy wyjechać 20 kilometrów poza Warszawę, by zobaczyć kraj, który potrzebuje ogromnych inwestycji. Podobnie w innych krajach – każdy, choćby najbogatszy, ma wolniej rozwijające się obszary. Mam nadzieję, że nasze propozycje zostaną przyjęte i polscy beneficjenci otrzymają kolejną szansę na wsparcie. Dla Polski podobne możliwości są niczym manna z nieba. not. OM

PLARIP, SYN PLAWIANTA

**DLA WIĘKSZOŚCI
POLAKÓW POŁOŻONA
NA ŚLĄSKU PSZCZYNA
KOJARZY SIĘ Z PIĘKNYM
PAŁACEM I JEDNYM
Z NAJCIEKAWSZYCH
ZAŁOŻEŃ PARKOWYCH
W KRAJU.**

**Mało kto wie, że miasto
może też pochwalić się
sięgającą XIX wieku
tradycją hodowli żubrów.**

TEKST I ZDJĘCIA
JACEK TARAN

Pokazowa Zagroda Żubrów funkcjonuje w Pszczynie od czerwca 2008 roku. Na powierzchni około 10 hektarów zlokalizowanych w zabytkowym parku powstała infrastruktura, która umożliwiła turystom bliski kontakt z tymi potężnymi zwierzętami przy jednoczesnym zachowaniu wszelkich norm bezpieczeństwa. – Pomysł utworzenia hodowli otwartej dla turystów zrodził się już pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia – opowiada Jacek Patyk, prezes Agencji Rozwoju i Promocji Ziemi Pszczyńskiej. – Istniejąca na naszym terenie hodowla żubrów w Jankowicach była zamknięta dla osób z zewnątrz, więc nie mogliśmy pokazywać jej turystom. Stąd na Radzie Liderów Lokalnych powstała koncepcja utworzenia w Pszczynie ośrodka turystycznego z żubrami jako główną jego atrakcją. Koncepcja została poparta przez Radę Miasta i już w 1999 roku otrzymano pozwolenie na budowę. Całkowity koszt budowy zagrody wraz z otaczającą ją infrastrukturą wyniósł 6,6 mln złotych. W znacznej mierze środki te udało się pozyskać z funduszy europejskich – Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego w ramach Zintegrowanego Programu Operacyjnego Rozwoju Regionalnego przeznaczył łącznie na ten cel 4 mln złotych. Paweł Sadza, kierownik Referatu Rozwoju i Funduszy Europejskich w pszczyńskim Urzędzie Miasta, wylicza: – Ponad 4 mln złotych pozyskaliśmy z Europejskiego Funduszu Rozwoju

Regionalnego, 1,4 mln zł wyłożył na tę inwestycję śląski Urząd Wojewódzki, 700 tysięcy złotych to wkład w inwestycję dokonany przez miasto Pszczyna. Oczywiście w fazie przygotowania projektu nie obyło się bez kontrowersji: część radnych, jak i mieszkańców, uważała, że są to pieniądze wydane niepotrzebnie, że pilniejsze są inne inwestycje typu budowa dróg czy kanalizacji. Warto jednak podkreślić, że koncepcja ośrodka przyrodniczo-edukacyjnego wpisuje się w plan zrównoważonego rozwoju, który zakłada proporcjonalny rozwój regionu we wszystkich aspektach: infrastruktury komunikacyjnej, gospodarki, ale również w zakresie kultury i turystyki.

**OD PSZCZYNY
DO BIAŁOWIEŻY**

Przygotowania do realizacji inwestycji rozpoczęto w roku 2002. Zgodę na użytkowanie inwestor otrzymał wiosną 2008 r. Uroczyste otwarcie ośrodka nastąpiło 1 czerwca. Do dzisiaj z oferty Pokazowej Zagrody Żubrów skorzystało ponad 82 tysiące turystów. Pszczyna ma ambicje stworzenia spójnej oferty turystycznej, której elementy będą się wzajemnie uzupełniać. – Chcemy, aby zagroda żubrów dawała turystom możliwość przedłużenia pobytu w Pszczynie, rozpoczętego np. od zwiedzania starówki czy pszczyńskiego zamku – tłumaczy Paweł Sadza z Urzędu Miasta. – W planach mamy realizację koncepcji „jednego biletu”, który obowiązywałby w zamku, w Muzeum Prasy Śląskiej oraz właśnie w zagrodzie żubrów. Będą w tym celu prowadzone rozmowy ze śląskim Urzędem Marszałkowskim, który odpowiada za zamek. Przede wszystkim chcemy przedłużyć pobyt turysty w Pszczynie do dwóch dni. Mamy nadzieję, że oferta zagrody króla puszczy znacznie nam w tym pomoże. W tej chwili Pokazowa Zagroda Żubrów to 14 etatów, dzielonych wspólnie z Biurem Informacji Turystycznej. Dyrektorem ośrodka jest Grzegorz Czembor i – jak twierdzą zgodnie zarówno pracownicy zagrody, jak i miejscy urzędnicy – to on jest postacią, która swoją osobowością nadaje charakter całemu przedsięwzięciu. Z zawodu leśnik, z zamiłowania myśliwy i wspaniały gawędziarz. Po trzydziestu latach pracy w nadleśnictwie Kobiór

trafił na stanowisko dyrektora Pokazowej Zagrody Żubrów. Potrafi długo i ciekawie opowiadać o zwyczajach swoich podopiecznych, o historii pszczyńskich żubrów oraz o losach i pochodzeniu innych zwierząt znajdujących się w zagrodzie. Bo warto zaznaczyć, że pszczyński ogród daje schronienie nie tylko żubrom, ale również takim okazom jak jelenie i sarny, muflony, dziki, danielce czy gęsi indyjskie. Dyrektor Czembor z pasją opowiada historię stada pszczyńskich żubrów – od jego lat świetności w dwudziestolecie międzywojennym, kiedy to w okolicznych lasach mieszkało ponad 70 żubrów, poprzez tragiczną w skutkach epidemię przyszczy z lat 50. ubiegłego stulecia. Zaraza zdziesiątkowała wówczas stado. Dla odnowienia grupy sprowadzono żubry ze stada białowieżskiego, które wcześniej zostało odnowione z osobników z linii... pszczyńskiej!

– W tej chwili mamy tutaj trzy dorosłe osobniki: Plawianta, Plistę i Porcję II, oraz jednego cielaka o imieniu Plarip – opowiada dyrektor Czembor. – Plarip jest synem Plawianta i Plisty. Jest to już drugi cielak urodzony w pszczyńskiej zagrodzie. Pierwszy niestety zakończył tragicznie swój żywot, prawdopodobnie zdeptany przez matkę. Pracownicy znaleźli go z pękniętą czaszką. Żubry to bardzo spokojne i łagodne zwierzęta, nie należy ich jednak drażnić, denerwować, bo jak każde dzikie zwierzę mogą poczuć się zagrożone i zacząć zachowywać się agresywnie.

NIE GŁASKAĆ, GDY JEDZĄ

Zwiedzanie zagrody jest tak zorganizowane, że możliwy jest bardzo bliski kontakt z królem puszczy. Pierwszy na trasie mamy cielętnik – to miejsce położone bezpośrednio przy oborze żubrów. Przegroda oddzielająca cielętnik od obory jest tak skonstruowana, że młody cielak może przecisnąć się przez szpary zostawione w przegrodzie, co pozwala turystom dosłownie przywitać się z małym żubrem („mały żubr” Plarip, urodzony w maju tego roku, waży już ok. 130 kg, dorosły osobnik może ważyć nawet do jednej tony). Następnie mamy paśnik, skonstruowany w taki sposób, że turyści mogą oglądać żubry przy uczcie niemal na wyciągnięcie ręki – samo wyciąganie rąk do jedzących żubrów nie jest jednak wskazane. Tuż



Grzegorz Czembor i pszczyńska rodzina żubrów

Plawiant, Plista, Plaris, Porcja II – to imiona pszczyńskich żubrów. W nomenklaturze hodowlanej imiona osobników zaczynające się na litery PL oznaczają żubry z linii pszczyńskiej. Porcja II (po-) to krowa z linii ogólnopolskiej. Protoplastami obecnego stada była para Planta i Plebejer. Z linii żubrów pszczyńskich zrekonstruowano również stado żubrów zamieszkujących obecnie Puszcze Białowieską.

Żubry sprowadził na Śląsk książę pszczyński Jan Henryk XI Hochberg w roku 1864. Miały stać się atrakcją urządzonych przez księcia polowań, w których udział brali najznakomitsi arystokraci z całej Europy.

Za jednego byka i trzy krowy zapłacił carowi Aleksandrowi II stadem jeleni. Zwierzęta przywieziono pociągiem. Do 2006 roku w lasach pszczyńskich urodziło się 266 żubrów, z czego 185 przewieziono do innych ośrodków w Polsce i za granicą. Więcej można zobaczyć i przeczytać na stronie internetowej ośrodka: www.zubry.pszczyna.pl.

Na ziemi pszczyńskiej żubry oglądać można również w Ośrodku Edukacji Ekologicznej „Pszczynskie Żubry” w Jankowicach, który od 2006 roku otworzył swoje podwoje również dla turystów.

obok wybiegu znajduje się wysoka, drewniana galeria, z wysokości której podziwiać można żubry dostojnie spacerujące pomiędzy parkowym starodrzewiem. Wejście na galerię zostało przystosowane również dla osób niepełnosprawnych.

Można skorzystać z windy. Dla osób zdrowych – drewniane schody. Cała infrastruktura zagrody jest tak zaprojektowana, że nie stanowi wizualnie elementu obcego, rażącego pomiędzy starymi drzewami pszczyńskiego parku. Wszystkie zabudowania wykonane są z drzewa i estetycznie wykończone.

Żywy kontakt z naturą, jaki zapewnia turystom ośrodek, uzupełnia oferta audiowizualna. Na terenie pawilonu wystawienniczo-edukacyjnego można obejrzeć trójwymiarowy film o życiu i zwyczajach żubrów oraz zwiedzić ekspozycję dotyczącą polskiej fauny. Przy zagrodach poszczególnych zwierząt umieszczone są szczegółowe tablice z informacjami o gatunku i jego pochodzeniu. W najbliższych planach znajduje się rozbudowa drugiego skrzydła tarasu widokowego, poszerzenie stada żubrów oraz pozyskiwanie nowych zwierząt do ogrodu.

Mimo że w początkowej fazie projekt nie zawsze spotykał się z przychylnymi reakcjami społecznymi, dziś, jak zgodnie zapewniają prezesi Agencji Rozwoju i Promocji Ziemi Pszczyńskiej, dyrektor ośrodka oraz kierownik miejskiego Referatu Rozwoju i Funduszy Europejskich – mieszkańcy Pszczyny są dumni ze swoich żubrów.

Chociaż zagroda żubrów funkcjonuje dopiero niewiele ponad rok, ma już na swoim koncie kilka nagród i wyróżnień. W marcu 2009 r. Związek Stowarzyszeń Polska Zielona Sieć wraz z Klubem Gajca uznał Zagrodę Żubrów za najlepszy projekt na Śląsku, który przyczynia się do zrównoważonego rozwoju regionu poprzez wykorzystanie funduszy europejskich.

W sierpniu tego roku kapituła regionalnego etapu konkursu na Najlepszy Produkt Turystyczny 2009 Polskiej Organizacji Turystycznej wybrała dwóch z 17 śląskich kandydatów. Zwycięzcami oraz kandydatami do Certyfikatu POT zostali Zagroda Żubrów w Pszczynie „Poznaj świat króla puszczy” oraz Zamek Ogrodzieniec z projektem „Historia zaklęta w kamieniu”. A w październiku Zagroda Żubrów otrzymała nagrodę Marszałka w X edycji konkursu na Najlepszą Przestrzeń Publiczną Województwa Śląskiego 2009. ♦

Godziny otwarcia zagrody:

Od 1 kwietnia do 30 października:
Poniedziałek – Niedziela
od 9.00 do 19.00

Od 1 listopada do 30 marca:
Poniedziałek – Niedziela
od 9.00 do 16.00

Stałe pory karmienia żubrów:
10.00, 12.00, 14.00, 16.00
Pokazowa Zagroda Żubrów
ul. Żorska 5
43-200 Pszczyna



Pokazowa Zagroda Żubrów w Pszczynie, współfinansowana ze środków Unii Europejskiej



ROBERT ŚLUSAREK, dyrektor



WOJCIECH ŚLIWINSKI, etnograf, architekt



ZOFIA PULIT, główna księgowa



BARBARA SZAFRAŃ, historyk sztuki



MIASTO

ŻYWE

Najpierw widać wieżę: białą, wysoką, okazałą. Jej widok na przedmieściach Nowego Sącza musi budzić zdziwienie: ratusz w tym miejscu? Wystarczy jednak skrócić w prawo z ulicy Lwowskiej, wiodącej z Nowego Sącza do Gorlic, by to zdziwienie wzrosło jeszcze bardziej – tu, nad potokiem Łubinka, pośród okolicznych domów, na niewielkim skrawku ziemi stoi nie tylko miejski ratusz, ale także szeregi równo ustawionych domków. Niektóre już ukończone; w innych trwają jeszcze prace budowlane.

Ale wątpliwości nie ma – to rynek małego miasta. Z tych miast, jakich w Małopolsce nie brakuje: Lanckorona, Zakliczyn, Stary Sącz.

To miasto jednak nie ma charakterystycznych cech współczesności. Tu jest tak, jakby czas nagle cofnął się o sto lat.

PRZYWOŁAĆ DAWNEGO DUCHA

Pomysł jego zbudowania istniał od dawna. – Wizja stworzenia małomiasteczkowej przestrzeni historycznej ze schyłkowego okresu monarchii austro-węgierskiej pojawia się w głowach sądeckich historyków i etnografów już w latach 60. minionego wieku. W grudniu 1968 roku stworzono pierwsze plany parku etnograficznego, w którym mieścić się również sektor małomiasteczkowy – tłumaczy Wojciech Śliwinski, etnograf, pracownik Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu.

Na początku pojawił się problem z miejscem. Galicyjskie miasteczko w zamyśle muzealników miało zamykać powstały Sąddecki Park Etnograficzny od północy

– stanowiąc niejako drugie wejście do sądeckiego skansenu. Sęk w tym, że teren, który muzealnicy sobie upatrzyli, leżący tuż nad potokiem Łubinka, należał do prywatnych właścicieli – a ci ani myśleli go sprzedawać. W sukurs historykom przyszła dopiero po wielu latach natura – w roku 1997 Łubinka obficie wylała. Tak obficie, że jeden z dwóch właścicieli działki postanowił wreszcie sprzedać swoją część. Drugi poszedł wkrótce za jego przykładem.

Żeby uzyskać środki na zakup tego terenu z krakowskiego Urzędu Marszałkowskiego, który jest jednostką fi-

PODRÓŻ W CZASIE? W NOWYM SĄCZU TO MOŻLIWE.

Tutejsi muzealnicy ze środków unijnych wybudowali galicyjskie miasteczko z czasów cesarza Franciszka Józefa.

MARCIN CHODUŃ
ZDJĘCIA JACEK TARAN

nansującą sądeckie muzeum, muzealnicy stworzyli program rozwoju całego Parku Etnograficznego. Na działce nad Łubinką zaplanowali przestrzeń paramuzealną, z replikami obiektów zabytkowych.

Śliwinski: – Założyliśmy, że będą to obiekty już nieistniejące lub nienadające się do przeniesienia.

Nad projektem architektonicznym pracowało trzech architektów: Zygmunt Lewczuk, Zenon Remi i Jacek Najbar. Zebraли oni dokumentację 300 obiektów z całej Małopolski, po czym wybrali 22 budowle, co pozwoliło opracować zespół wokółrynkowy, tworzący impresję miasteczka galicyjskiego. Znalazły się w nim repliki domów, stojących niegdyś między innymi w Zakliczynie, Krościenku, Orawce czy Czchowie.

W budynkach będzie się mieścić między innymi warsztat garncarski, sklepik kolonialny, stara apteka, karczma i warsztat żydowskiego krawca. Nie będą to inscenizacje muzealne – po upływie pięciu lat karencji zmienią się w działające na zasadach rynkowych punkty usługowe. Ale stylizowane na przełom XIX i XX wieku (obsługa będzie nosić stroje z epoki). Wszystko w ramach programu rewitalizacji dawnych zawodów. – Bardziej niż o szatę ogólną tych budynków, chodziło nam o to, by poprzez ich wnętrza ożywić



JACEK TARAN

Miasteczko Galicyjskie Nowy Sącz

świat, który bezpowrotnie odszedł w przeszłość – tłumaczy Robert Ślusarek, dyrektor Muzeum w Nowym Sączu. – Chcemy przywołać jego ducha.

JAZDA BEZ TRZYMANKI

Urzędnikom z Urzędu Marszałkowskiego, który jako jednostka nadrzędna finansuje działalność muzeum, plan się spodobał, sądeccy muzealnicy dostali pieniądze na wykup ziemi. Pierwszą działkę nabyli w 2002 roku. Ale droga do rozpoczęcia inwestycji była jeszcze daleka. – Cały temat był trudny pod względem inwestycyjnym – objaśnia Janusz Obtułowicz, szef działu inwestycji sądeckiego muzeum, odpowiedzialny za stronę techniczno-organizacyjną przedsięwzięcia. Prace były uzależnione od regulacji potoku Łubinka. Niewielki potok w przeszłości wielokrotnie dawał się we znaki mieszkańcom Nowego Sącza, co kilka lat obficie wylewając. Problem polegał na tym, że administrator potoku – Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej – nie miał środków na jego regulację. Urząd Marszałkowski zgodził się więc przekazać muzealnikom pieniądze również i na ten cel. – Poszerzyliśmy potok, a cały teren (2 hektary) podnieśliśmy o ponad 2 metry – wspomina Obtułowicz. Ale do zrealizowania całego zamierzenia potrzeba było dużo większych pieniędzy. Dlatego w 2005 roku sądeckie muzeum wystartowało w unijnym programie ZPORR – Zintegrowanym Programie Operacyjnym Rozwoju Regionalnego – w działaniu dotyczącym kultury i turystyki. Cały projekt podzie-

lono na dwa etapy. Wartość pierwszego oszacowano na 12,5 mln złotych. Muzealnicy konkurs wygrali i otrzymali unijne dofinansowanie w wysokości 7,5 mln złotych. Stanowiło to 75% kosztów kwalifikowanych całego przedsięwzięcia (VAT wlicza się w koszty niekwalifikowane). Reszta środków pochodziła z funduszu Województwa Małopolskiego.

Jak pracownicy muzeum przyjęli wiadomość o wygranej? – To była radość wymieszana z obawą: jak sobie poradzimy – wyznaje Zofia Pulit, główna księgowa. Tak, byli nieco przerażeni nieznanymi wyzwaniem, z którymi nagle musieli się zmierzyć. Wielu rzeczy musieli się uczyć na gorąco. – To była prawdziwa jazda bez trzymanki – wspomina z uśmiechem dyrektor Ślusarek.

Zwłaszcza że pierwszy etap prac przebiegał bardzo szybko: wszystkie budynki zostały właściwie zbudowane w ciągu 7 miesięcy – i to pod klucz! Ale nie tylko napięty harmonogram powodował stres. Pewną nerwowość powodowały też unijne procedury rozliczeniowe. Pieniądze w ramach dofinansowania otrzymuje się bowiem dopiero po wykonaniu określonej części prac. Należy w tym celu złożyć wniosek o płatność, który jest następnie weryfikowany przez służby audytu europejskiego. Może to trwać nawet do 6-7 miesięcy.

Zofia Pulit: – Ten pierwszy etap przyniósł nam bardzo wiele doświadczeń, z których teraz czerpiemy pełnymi garściami.

Jakich? – Na pewno nauczyliśmy się, że na etapie przygotowawczym musimy mieć dokładnie zdefiniowane szczegó-

ły merytoryczne. Unijny wniosek musi więc zawierać nie tylko plany budowlane, ale i szczegółowe opisy poszczególnych elementów wyposażenia – łącznie z informacjami, jakie krzesła będą stały w pokojach, jakie klamki będą miały drzwi, co będzie wisieć na ścianach. Obtułowicz: – Żeby złożyć wniosek unijny, cały proces inwestycyjny musi być praktycznie zakończony. I to w taki sposób, by w momencie otrzymania pozytywnej decyzji od razu móc rozpocząć realizację projektu.

TRUDNE KOMPROMISY

Zdobyta wiedza opłaciła się: sądeckim muzealnikom udało się zdobyć kolejne środki unijne na dofinansowanie drugiego etapu projektu. Wniosek zgłoszili w 2008 roku do Małopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego (wcześniejszy program – ZPORR – dobiegł już końca).

Wartość drugiego etapu została również oszacowana na 12,5 mln. złotych; przyznana dotacja wynosiła 5,6 mln złotych. Prace rozpoczęto w 2008 roku; planowane zakończenie – lipiec 2010.

Janusz Obtułowicz: – Procedury unijne nie są łatwe. Sam wniosek i studium wykonalności to co najmniej dwa segregatory dokumentów – a do tego jeszcze mnóstwo załączników. Pisząc wniosek, trzeba być trochę i budowlanym, i ekonomistą. Na pewno jedna osoba nie byłaby w stanie podołać temu zadaniu.

W nowosądeckim muzeum nad wnioskiem pracował zespół, składający się z pracowników merytorycznych, czyli historyków sztuki i etnografów, którzy dbali o wierność historyczną inscenizowanych wnętrz, oraz z pracowników działu ekonomiczno-inwestycyjnego, którzy całe przedsięwzięcie trzymali w ryzach formalno-prawnych.

Tarcia – muzealnicy mówią: „konstruktywne spory” – były nieuchronne.

Obtułowicz: – Problem polegał na tym, że muzealnik najchętniej prze-

niósłby obiekt oryginalny albo budował z oryginalnych materiałów. A to z reguły ma się nijak do obowiązującego prawa budowlanego.

Ot, choćby drzwi. Pomieszczenia w budynku – owszem – mogą być stylizowane. Ale drzwi muszą być zgodne z wymogami przeciwpożarowymi. Czyli: wykonane z metalu i przeszklone.

– My, jako historycy, często puszczaliśmy wodze fantazji, zupełnie nie licząc się z uwarunkowaniami finansowymi – śmieje się Ślusarek.

Jednak szybko nauczyli się łączyć wizję merytoryczną z realiami finansowo-prawnymi. – I to dawało nam prawdziwą satysfakcję – przyznaje Pulit.

PRZEZ ŻOŁĄDEK DO... HISTORII

Znaczną część wyposażenia sądeckiego miasteczka będą stanowić rekwizyty z epoki bądź rekonstrukcje, ale nie muzealia, te bowiem pozostają pod ścisłą ochroną ustawową. Tu także w trakcie pierwszego etapu projektu pojawiły się problemy: unijne terminy w ogóle nie uwzględniały procesów konserwatorskich. – Zdarzało się więc, że musieliśmy po prostu wprowadzać obiekty muzealne do mokrych jeszcze pomieszczeń – opowiada Robert Ślusarek.

Nie wszystkie gotowe już dziś wnętrza zostały jednak wyposażone w oryginalne eksponaty. Zupełnie nowy, niestylizowany wystrój ma ratusz, główny element całego zespołu urbanistycznego, zbudowany na podstawie dotąd niezrealizowanych planów ratusza ze Starego Sącza oraz stojący nieopodal dwór szlachecki – replika XVIII-wiecznego obiektu z Łososiny Górnej, który uległ całkowitemu zniszczeniu w latach 70. XX wieku.

W innych budynkach – warsztacie garncarskim, gabinecie dentystycznym, starej pocztie – znaczną część wyposażenia będą stanowić kopie dawnych przedmiotów. – Repliki? Cóż, w wielu

przypadkach cezura czasowa, którą sobie przyjęliśmy, okazała się zbyt rygorystyczna – tłumaczy Barbara Szafran, historyczka sztuki, odpowiedzialna za wyposażenie wnętrz. – Niektóre przedmioty już praktycznie nie istnieją. Sądeccy muzealnicy zlecili więc specjalistom z zakresu historii obyczajowości ich odtworzenie na podstawie przekazów ikonograficznych: obrazów, opisów zdjęć. Ale to nie jedyny powód, dla którego zdecydowali się na wykorzystanie kopii.

Śliwiński: – Stosowanie replik ma jedną ważną zaletę: można ich swobodnie używać. A my chcemy przecież ożywić paramuzealną przestrzeń miasteczka, rewitalizując w niej dawne zawody. Dlatego u naszego fotografa będzie można zrobić sobie zdjęcie, u dentysty wyleczyć zęby (bez znieczulenia), w aptece kupić leki, a w cukierni skosztować wypieków według starych receptur.

Muzealnicy liczą, że w ten sposób ożywią cały region. A przede wszystkim najbliższą okolicę. Tym bardziej że jej mieszkańcy byli początkowo dość nieufni. Szybko zaczęli się jednak do projektu przekonywać. Zwłaszcza że dzięki niemu powstało już kilkanaście miejsc pracy. Muzealnicy przygarnęli także jedną z osiedlowych świetlic – jej zajęcia odbywają się regularnie na terenie miasteczka. – Chodzi o to, żeby lokalna społeczność też coś miała z tego projektu – deklaruje Ślusarek.

A przyjeździ? – Poprzez zabawę w miasteczku chcemy zachęcić turystów, by zainteresowali się historią i zechcieli obejrzeć ekspozycję całego parku – tłumaczy Ślusarek.

Śliwiński: – Tu, w miasteczku, są igrzyska, a w skansenie – chleb stawy duchowej.

Muzealnicy liczą jednak, że do zwiedzenia skansenu zainspirują turystów nie tylko rzemieślnicze warsztaty i kramy. Ważną zachętą mają być także specjalne podawane w karczmie. A zwłaszcza dobra sądecka kwaśnica. ◆



Pracownia garncarska

WYGRYWA NAJLEPSZY

► **JAKUB SOKOŁOWSKI:** Małopolskie Centrum Przedsiębiorczości zajmuje się obsługą dotacji dla przedsiębiorców na terenie województwa małopolskiego. Jak wygląda droga od pomysłu do uzyskania dotacji z perspektywy beneficjenta?

RAFAŁ SOLECKI, dyrektor Małopolskiego Centrum Przedsiębiorczości: Akurat w Małopolsce przedsiębiorcy radzą sobie bardzo dobrze i droga ta nie sprawia im większych trudności. Co roku organizowane są konkursy, osobno dla mikrofirm, osobno dla małych oraz średnich. Najpierw ogłaszamy regulamin konkursu, do którego załącznikiem jest m.in. wniosek o dofinansowanie. Należy go wypełnić i złożyć z załącznikami w terminie trwania konkursu. Kolejnym etapem jest ocena wniosków. Ocena formalna dokonywana jest przez pracowników MCP, natomiast merytoryczna to zadanie ekspertów zewnętrznych.

► **W tym roku w ramach konkursu dla mikrofirm wpłynęło prawie 500 wniosków, czyli konkurencja jest ogromna. Co decyduje o zwycięstwie?**

Wygrywa najlepszy. Decyduje o tym przejrzysta punktacja, uzależniona od kryteriów wyboru projektów. Są one znane wszystkim przedsiębiorcom w momencie składania wniosku, tak żeby wiedzieli, pod jakim kątem będzie on oceniany. Ocena formalna jest najprostsza, zero-jedynkowa, ale bardzo ważna, ponieważ dopiero gdy wniosek spełni wymogi formalne, przekazywany jest do oceny merytorycznej. Merytoryczna jest bardziej skomplikowana. Każde kryterium ma swoją nazwę i przypisaną możliwą do zdobycia liczbę punktów. Otrzymuje się je proporcjonalnie do stopnia spełnienia danego wymogu. Największe znaczenie ma zakres korzyści osiągniętych w ramach realizacji projektu, czyli – im więcej dany przedsiębiorca zyska dzięki dotacji – tym większą ma szansę te środki uzyskać. Żeby zostać umieszczonym na liście podstawowej, która zatwierdzana jest przez Zarząd Województwa, należy mieć przynajmniej 60 proc. maksymalnej możliwej liczby punktów.

► **Ile wniosków spełnia to kryterium?**

Bardzo dużo. W Małopolsce mamy chyba najwyższy wskaźnik w Polsce. Czasem bywa tak, jeśli liczba firm przystępujących do konkursu jest nieduża, że te 60 proc. wystarczy, aby dostać dotację.

► **W Unii jesteśmy od połowy 2004 roku. Czy przez ten czas podejście wnioskodawców i was – rozliczających wnioski – się zmieniło? Czy radzimy sobie lepiej?**

Staramy się nie popełniać błędów z lat poprzednich. My – staramy się ograniczać biurokrację, gdzie tylko się da, oraz, co najważniejsze, płacić na czas.

Jeśli chodzi o przedsiębiorców – to ich wnioski są coraz lepsze i przede wszystkim jest ich coraz więcej. Firmy dowiadują się o tych możliwościach nie tylko od MCP, ale również bezpośrednio od siebie. Złożono u nas już 1385 wniosków w siedmiu konkursach, z czego Zarząd Województwa zatwierdził 590. Wśród tych projektów są również w stu procentach zakończone – środki zostały wypłacone, a ich użycie skontrolowane, dzięki czemu wiemy, że zostały wykorzystane na cele przewidziane we wniosku. Te pieniądze są już w gospodarce i działają.

► **Czy wypełnianie wniosków sprawia dużo problemów? Jakie są najczęstsze błędy?**

Przede wszystkim należy powiedzieć, że błędy zwykle wynikają z tego, że potencjalni beneficjenci nie czytają instrukcji do wniosku. Jeśli się z niej korzysta, to wypełnienie formularza nie powinno sprawić kłopotów.

► **A co z błędami we wnioskach? Czy przedsiębiorca, któremu się to zdarzyło, nie ma już szans na otrzymanie dotacji?**

Pomyłki się zdarzają, więc – nauczeni doświadczeniem lat ubiegłych – nie skreślamy takiego przedsiębiorcy od razu. Błędów we wniosku bywa kilkanaście, a nawet więcej. Wszystko zaznaczamy i opisujemy, następnie odsyłamy wniosek i dajemy 5 dni roboczych na jego korektę. Pamiętam czasy, kiedy wnioski odrzucano, ponieważ tam, gdzie miało być 10 linijek, ktoś zapisał 11 lub użył tuszu o niewłaściwym kolorze. Na szczęście teraz jest inaczej. Małopolskie Centrum Przedsiębiorczości dba o to, aby takich absurdów nie powielać i upraszczać, co tylko jest możliwe, ale w zgodzie z przepisami prawa. ◆

ROZMAWIAŁ **JAKUB SOKOŁOWSKI**

WYLEGARNIA AKTYWNOŚCI

EKONOMIĄ SPOŁECZNĄ NA POŁUDNIOWYM WSCHODZIE KRAJU ZAJMUJĄ SIĘ OSOBY, KTÓRE – JAK NIE DRZWIAMI, TO OKNEM, JAK NIE OKNEM, TO KOMINEM – WEJDĄ I ZAŁATWIĄ. WIDAĆ JUŻ PIERWSZE EFEKTY.

MADLENA SZELIGA

Tu jest Podkarpacie. Słaba infrastruktura, nie ma dróg. Nie ma co czekać na inwestora na białym koniu, który wszystkich wybawi – tłumaczy pomysłodawczyni projektów „Inkubatory Trzeciego Sektora” oraz „2 + 2 = 5”. Kamila Michalik przyjechała z Wrocławia do Polski wschodniej i wzięła sprawę w swoje ręce.

DWA PROJEKTY – JEDEN CEL

Trzeci sektor nie jest popularny w regionie. Organizacji pozarządowych powstaje nawet sporo, ale próbę czasu wytrzymuje około 10 procent. Najczęściej kończy się na dobrym pomysle. Potem aktywiści muszą przebić głowami mur z przepisów, braku środków i czasu. Zapał mija, bo wszystko wydaje się niemożliwe. Stąd pomysł inkubatorów.

– Oferujemy w pełni wyposażone pomieszczenie biurowe, komputery, faks, ksero, telefon – informuje Anna Mikołajczyk, kierownik projektu w Rzeszowskiej Agencji Rozwoju Regionalnego. – Każda organizacja przez 10 miesięcy ma przydzielonego mentora, który stale się nią opiekuje i wytycza kierunki rozwoju. Radzi, pomaga w przygotowywaniu projektów.

Na Podkarpaciu Inkubatory są dwa. Miłe, umeblowane pomieszczenia z komputerami. Sale szkoleniowe z okrągłym stołem i tablicami do kreślenia. Biblioteczka, w której znajduje się to, co może być potrzebne członkom organizacji – podręczniki zarzą-

dania, ustawy z komentarzami, miesięczniki dotyczące trzeciego sektora. Umowy z rzeszowskim Inkubatorem podpisało już 50 organizacji, w Stalowej Woli – 36. Początkowo zgłoszeń było mało, teraz w każdym tygodniu pojawiają się nowi chętni.

– Naszym ulubieńcem jest starszy pan, który postanowił założyć Stowarzyszenie Przyjaciół Trzebownika. Wszystkiego chce się nauczyć i ma niezwykle ambitne plany – opowiada z dumą Anna Mikołajczyk. – Chce dbać o miejscowe pomniki historii. Zamierza przeprowadzić renowację zabytkowych kapliczek, ale jednocześnie stawia na nowoczesność, chce stworzyć miejscową sieć internetową.

Stowarzyszenie Przyjaciół Trzebownika aktywnie uczestniczy we wszelkich możliwych szkoleniach i działa coraz prężniej. Sporą pomoc uzyskał też Wolontariat Gorących Serc, którego członkowie skorzystali dzięki Inkubatorowi z kursu nauki języka migowego i alfabetu Braille'a.

– To dla nas ogromna pomoc – mówią wolontariusze. – Nie dość, że wreszcie mamy gdzie się spotykać, to jeszcze uczymy się tego, co nam naprawdę potrzebne. Takie kursy są bardzo drogie, a tu korzystamy z nich za darmo. Mamy coraz więcej do zaproponowania.

Oba projekty – „Inkubatory Trzeciego Sektora” oraz „2 + 2 = 5” to próba wsparcia ekonomii społecznej na terenie województwa. Inkubatory mają pomóc organizacjom przetrwać. Uczą, jak zdobywać środki, jak zarządzać, jak mobilizować ludzi. Przez rok członkowie uczestniczą w szkoleniach.

– Każdy problem da się rozwiązać – twierdzi Anna Mikołajczyk. – Nie można tylko odkładać go na później, bo robi się coraz poważniejszy. Do dyspo-

zycji naszych organizacji mamy czterech doradców: do spraw księgowości, marketingu, spraw prawnych i zarządzania. W razie jakichkolwiek kłopotów członkowie umawiają się z doradcą na spotkanie i próbują wypracować najlepsze dla siebie rozwiązania.

„2 + 2 = 5” ma wspierać partnerstwa organizacji pozarządowych i samorządu, które pomogą osiągnąć wspólne cele. Organizowane są panele dyskusyjne – co kwartał w innej miejscowości na terenie Podkarpacia. W ramach projektu wydano także trzy książki, z których najważniejsza to „Podręcznik zakładania i rejestracji spółdzielni socjalnych”. Plan zakłada również utworzenie 6 partnerstw na poziomie gminnym oraz 3 na poziomie powiatowym do końca 2010 roku. Na razie spośród chętnych do skorzystania z projektu wybrano 10 instytucji, które będą takie partnerstwa zakładać. Początki były trudne. Świadomość istoty tych problemów jest na Podkarpaciu bliska zeru. Koordynatorzy projektu przyznają, że ekonomią społeczną muszą się tu zajmować osoby, które – jak nie drzwiami, to oknem, jak nie oknem, to kominem – wejdą i załatwią.

Prekursorką jest Kamila Michalik, z wykształcenia politolog. Zafascynowała się ekonomią społeczną. Uważa, że to ogromna szansa na polepszenie sytuacji mieszkańców Polski południowej. Na początku słyszała tylko, że „się nie da”, ale uparła się i dopięła swego. Założona przez nią organizacja – Fundacja Akademia Obywatelska wraz z Rzeszowską Agencją Rozwoju Regionalnego przygotowała projekt, który zyskał akceptację w UE.

– Długo zastanawialiśmy się nad nazwą projektu – opowiada. – „Efekt synergii” brzmi na przykład okropnie. Zaproponowałam „2 + 2 = 5”, bo to proste i ob-

DO „INKUBATORA TRZECIEGO SEKTORA” mogą zgłosić się organizacje nowopowstałe, działające do 24 miesięcy, działające powyżej 24 miesięcy, o obrotach za poprzedni rok do 100.000 zł, oraz grupy inicjatywne do założenia organizacji pozarządowej. Więcej informacji uzyskać można na stronie internetowej www.trzeciektor.org.

PROJEKT „2 + 2 = 5” skierowany jest przede wszystkim do instytucji rynku pracy, pomocy i integracji społecznej (np. Powiatowe Urzędy Pracy, Ośrodki Pomocy Społecznej), podmiotów ekonomii społecznej, instytucji pozarządowych (zwłaszcza działających w obszarze usług społecznych, integracji i pomocy społecznej), instytucji pracujących na co dzień z grupami społecznymi wymagającymi wsparcia. Szczegóły na stronie www.2plus2to5.pl.



MACIEJ GRABOWSKI

Kamila Michalik uważa, że ekonomia społeczna jest szansą dla Podkarpacia

razowe. Ale popatrzone na mnie z współczuciem. „Pani Kamilo! Oni tam przecież pomyślą, że my nie umiemy liczyć!”

W sumie oba projekty kosztowały 5 milionów złotych. Udało się jednak uzyskać 85% środków z Europejskiego Funduszu Społecznego, resztę dopłacił budżet państwa. Nadal jednak bez poparcia samorządu nic nie da się zrobić.

– A przecież mamy wspólny cel – dziwi się pani Kamila. – Chcemy, żeby żyło się nam tutaj lepiej.

Ekonomia społeczna to kuszące wyjście zwłaszcza dla terenów z dużym bezrobociem. Jej ideę najkrócej można przedstawić następująco: przedsiębiorstwo wypracowuje zysk, nie dla samego zysku, ale po to, żeby zainwestować go we wspólny cel, np. rozwój miejscowości lub pomoc społeczną. Jeśli mieszkańcy potrafią się zjednoczyć i założyć spółdzielnię socjalną, nakłonią lokalne władze do współpracy – to jest to dla nich ogromna szansa. Tworzą się miejsca pracy, a pozyskany dzięki działalności spółdzielni kapitał inwestuje się w okolicę. To szansa dla wykluczonych – bezrobotnych, niepełnosprawnych, którzy nigdzie indziej nie należąby pracy.

– Trzeci sektor jest lekarstwem na bolączki Podkarpacia – przekonuje pani Kamila. – Trzeba więc jak najwięcej inwestować w ludzi. W Inkubatorach przygotowujemy samorządom wartościowych partnerów, w projekcie „2 + 2 = 5” próbujemy takie partnerstwa uatwić i rozpowszechnić.

Wielokrotnie podkreśla, że najważniejsza jest zmiana. – Nie zależy mi na tym, żeby przejeść te pieniądze – mówi. – Chodzi o to, żeby wypracować przy ich pomocy nowe rozwiązania – wtedy będzie lepiej. I to na dłużej.

Na razie Podkarpacie jest na początku drogi. Oba projekty ruszyły w kwietniu tego roku i potrwać do końca 2010.

PANIE ORAZ TRZECH PANÓW

To nie instytucja. To po prostu ludzie z pomysłem. Nie ma mundurków i sztywnych reguł. Po stalowowolskim Inkubatorze pani Kamila biega w fioletowych kapturkach.

– Nie mam garsonki – śmieje się. – Na początku się na mnie denerwowali, że powinien być bardziej poważna. Ale teraz wszyscy się do tego przyzwyczaili.

Rzeczywiście, atmosfera jest bardzo przyjazna. Nie ma tutaj rządów silnej ręki. Kiedy któryś z pracowników żartobliwie zwraca się do pani Kamili „Pani Prezes”, słyszy: „Jak Cię zaraz kopnę za Panią Prezes...”. Lubią tu być. Mówią, że mają poczucie, że robią coś ważnego. Z przejściem opowiadają o akcjach przeprowadzonych z pomocą Inkubatora.

– Realizuję swoje marzenia – pani Kamila, o godzinie 20 jeszcze w pracy, tylko trochę zmęczona – spędzam tutaj 12 godzin dziennie, czasem mam naprawdę dość, ale czuję, że to, co robimy, jest ważne. Widzę, jak pomagamy, i to jest najlepsza mobilizacja.

Ci, którym Inkubator już pomógł, zachwycają się tą inicjatywą. Pani Krystyna Skwierz dzięki uzyskanemu tu wsparciu założyła Stowarzyszenie Wdów i Wdowców.

– Czułam się samotna, pomyślałam, że problemy, jakie mam, dotyczą wszystkich, którzy stracili współmałżonka – opowiada o początkach przedsięwzięcia. – Przeczytałam o Inkubatorze, rozwiesiłam ogłoszenia, że organizuję spotkanie. Przez trzy miesiące rozmawiałymy z Kamila o tym, co chcemy robić. My chcieliśmy się głównie poklepywać po plecach i pocieszać, ale Kamila mówiła, że trzeba działać, pomagać innym.

– Któregoś dnia wreszcie powiedziały „My nie będziemy tu przychodzić, bo ty nas zmuszasz do myślenia!” – wspomina te rozmowy pani Kamila. – Ale po trzech tygodniach zjawiły się i mówiły: „Może byśmy trochę pomyślały”. Wypracowałyśmy statut Stowarzyszenia i działają.

Panie oraz trzech Panów, dzięki swojemu Stowarzyszeniu pomagają dzieciom z ubogich rodzin. Organizują zbiórki pieniędzy, udzielają korepetycji. Ale przede wszystkim pomagają sobie. Czują się potrzebni. Mają mnóstwo zajęć i kilka nowych przyjaciół. Kiedy ktoś z tej grupy choruje – reszta odwiedza go, robi zakupy. Spotykają się w siedzibie Inkubatora przy kawie i herbacie i planują nowe działania. I śmieją się głośno.

– Wcześniej się nie znaliśmy – opowiadają – teraz nie wyobrażamy sobie, że moglibyśmy się nie spotykać. Kamila obiecała, że będzie nas prowadzić za rękę – i prowadzi bardzo dobrze.

PO CO NAM KARTA

W regionie coraz większym zainteresowaniem cieszą się organizowane przez

Rzeszowską Agencję Rozwoju Regionalnego i Fundację Akademia Obywatelska panele dyskusyjne i warsztaty szkoleniowe o trzecim sektorze. Okazuje się, że wielu ludzi ma pomysł na działanie. Jedni chcą kultywować regionalne tradycje, dbać o swoją miejscowość, inni – szerzyć informatyzację. Ekonomia społeczna ma więc szansę zakorzenić się na Podkarpaciu.

Rzeczywistość nie jest jednak różowa. Ludzie zaangażowani w projekty zarówno w RARR, jak i FAO toczą nieustanną walkę z przepisami. Skarżą się na biurokrację, która jest pozbawiona elastyczności, a często i jakiegokolwiek racjonalności.

– Tracimy mnóstwo czasu na przygotowywanie pism, które wydają nam się zupełnie bezsensowne – skarży się pani Kamila. – Wszystko trzeba uzasadnić, nawet zakup karty telefonicznej. Więc musi być pismo, po co nam karta telefoniczna, że służy do telefonowania. Wtedy dopiero jest w porządku. Jej biurko tonie w dokumentach. Co chwilę coś podpisuje. To męczące, ale rozumie, że nie ma innego wyjścia. Uważa jednak, że praca urzędników kontrolujących realizację tego typu projektów mogłaby być lepsza, gdyby lepiej znali oni drugą stronę, czyli tych, których kontrolują.

– Pracowałam w instytucji, która rozliczała projekty – tłumaczy. – Każdy z nas musiał zrobić jakiś projekt, choćby najprostszy, żebyśmy wiedzieli, jak to wygląda, jakie błędy popełnić najłatwiej. Żebyśmy rozumieli tych, których rozliczamy.

Jednak największą przeszkodą w rozwoju trzeciego sektora jest niska świadomość społeczna jego istotności. Ludzie są nieufni, patrzą na wolontariuszy z podejrzliwością. Nikt tak naprawdę nie wie, co to jest organizacja pozarządowa czy stowarzyszenie – najczęściej można usłyszeć, że to marnowanie czasu dobre dla emerytów czy studentów. A przecież tak być nie musi. Stowarzyszenie prowadzące działalność gospodarczą może zarobić na sobie, stworzyć kilka miejsc pracy.

Wśród samorządowców także wciąż brak zaufania do tego typu przedsięwzięć. Wolą budować drogi. Podkarpackie Inkubatory próbują zmienić tę świadomość.

Kamila Michalik: – Trzeba powoli pokazywać na dobrych przykładach, że to się opłaca. Ludzie dostrzegą, że jeśli gdzieś się udało, może udać się i u nas.

NIE TYLKO SZKOLENIA

► **JAKUB SOKOŁOWSKI:** Program Operacyjny Kapitał Ludzki zaplanowany na lata 2007–2013 finansowany jest głównie z Europejskiego Funduszu Społecznego. Ma wspierać rozwój społeczno-gospodarczy Polski, wzrost zatrudnienia oraz likwidację wykluczenia społecznego. Jakże konkretne działania są podejmowane?

ANDRZEJ MARTYNUSKA, dyrektor Wojewódzkiego Urzędu Pracy: W ramach Programu przyznajemy dotacje na rozpoczęcie działalności, oferujemy doradztwo dla przyszłych przedsiębiorców, programy rozwojowe dla szkół, różnego rodzaju systemy doradcze dla osób zagrożonych wykluczeniem z rynku pracy, a także szkolenia. Fundusze sprawiają, że człowiek nie jest pozostawiony samemu sobie. Ma gdzie pójść, uzupełnić wiedzę. Może nauczyć się obsługiwać urządzenie, oswoić z nowymi technologiami. Ludzie mówią, że wszyscy się na nich uwzięli, że nie mogą znaleźć pracy i nie ma dla nich żadnych możliwości. Te możliwości są, ale trzeba je pokazać.

► **Czy takie szkolenia mają sens? Pojawiają się zarzuty, że jest to strata pieniędzy.**

Nikt nie wymyślił lepszej metody na zdobywanie kwalifikacji niż szkoła. Wszystko zależy od tego, jak będziemy szkolić i czy to, co przekazujemy, jest potrzebne na rynku pracy. Często dziwię się pracodawcom, którzy skarżą się, że nie mogą znaleźć odpowiednio wykwalifikowanych pracowników, a jednocześnie uważają szkolenia za stratę pieniędzy. Przecież jeśli zamiast na kształcenie wydamy środki na inwestycje, to nie będzie miał kto pracować na nowo utworzonych miejscach pracy. Naszym zadaniem jest, by szkolenia odbywały się w sposób najbardziej efektywny. Trzeba wybierać tylko te najlepsze. Poza tym to mit, że zajmujemy się głównie szkoleniami. To tylko 38 proc. naszych działań finansowanych w ramach PO KL, jest też doradztwo i dofinansowania dla tych, którzy chcą rozpocząć działalność gospodarczą.

► **Co muszę zrobić, żeby otrzymać dotację?**

Udostępniamy pieniądze wyłącznie w formie konkursu. Na naszej stronie internetowej są opisane wszystkie wymogi, krok po kroku, jakie musi spełnić dokumentacja. Wymienione są cele, na jakie mogą być te pieniądze przeznaczone. Podany jest także termin konkursu oraz wymienione podmioty, do których jest kierowany. Tych zasad jest bardzo dużo, ale wystarczy wszystko spokojnie przeczytać. To naprawdę jest niesłychanie proste. Okazją do przekonania się co do tego będą organizowane przez WUP w Krakowie Dni Otwarte 16-18 grudnia. Będziemy wyjaśniać wszystkie wątpliwości dotyczące zasad konkursów. Konsultanci będą też udzielać porad na temat możliwości sfinansowania projektów odpowiadających na istotne problemy społeczne.

► **Wnioskodawcy narzekają na biurokrację.**

Te procedury mają dwie cechy – po pierwsze są jawne i dla wszystkich dostępne, a po drugie – bardzo sformalizowane. Trzeba mieć mnóstwo informacji, aby móc przygotować odpowiedniej jakości projekt. To oczywiście przeszkoda, ale trzeba rozumieć, że procedury te mają proces przyznawania środków uniezależnić od samowoli urzędniczej. Wszyscy muszą mieć równe szanse. Wydaje się jednak, że wpadliśmy we własne sidła – liczba dokumentów i reguł jest zbyt duża. Są one proste i ogólnodostępne, ale często stanowią barierę dla wielu instytucji, które albo nie umieją sprostać tym wymogom, albo szybko zniechęcają się ogromem ilością dokumentów, z którymi trzeba się zapoznać.

► **Jakie są efekty funkcjonowania Programu w liczbach?**

Zeszły rok w województwie małopolskim to 2617 wniosków i 473 umowy. W tym roku wynik będzie podobny. Ciężko ocenić, co było naszym największym sukcesem, ponieważ nie da się oddzielić tego, co dzieje się dzięki środkom unijnym, i tego, co jest efektem dobrej koniunktury gospodarczej. W ramach samego Programu pomogliśmy 140 tysiącom osób. Od początku 2003 roku wydaliśmy prawie 550 mln zł. Małopolska w ostatnich dwóch latach nie wykazywała w żadnym momencie symptomów realnego kryzysu gospodarczego. Było pewne zaniepokojenie na rynku, które powoli się kończy. Istniało zagrożenie, że wszyscy wyjadą do Irlandii, ale już nie wyjeżdżają. Pracodawcy chętnie inwestują w Polskę, która staje się coraz bardziej atrakcyjna.

ROZMAWIAŁ **JAKUB SOKOŁOWSKI**



Torfowisko Zapadź jesienią

SZANSA DLA BAGIEN

DZIĘKI FUNDUSZOM EUROPEJSKIM ŚLĄSKA gmina Miedźna połączyła troskę o mieszkańców z ochroną przyrody.

JAKUB SOKOŁOWSKI

Na terenie położonej w powiecie pszczyńskim gminy Miedźna znajduje się prawdziwy przyrodniczy skarb. Torfowisko Zapadź jest jedną z najważniejszych enklaw zieleni na Śląsku. Na obszarze objętym ochronnym programem Natura 2000 gniazdują m.in. zagrożone wyginięciem gatunki jak kropiatka, zimorodek, rybitwa czarna, derkacz, dubelt czy zwirowiec łąkowy. W bagiennym terenie rosną również rzadkie gatunki roślin, m.in. siedmiopalcznik błotny, wąkrotka zwyczajna czy tojeść bukietowa. Torfowisko daje okolicznym mieszkańcom nie tylko możliwość kontaktu z niespotykanymi już gdzie indziej gatunkami. Dzięki niemu gmina uzyskała znaczące wsparcie cywilizacyjne w postaci kanalizacji.

SZAMBA NIEPOTRZEBNE

Miedźna jest zwyczajną polską gminą z typowymi problemami cywilizacyjnymi. Do roku 2004 mieszkańcy i urzędnicy mogli jedynie marzyć o zrobieniu kanalizacji. Jej brak doskwierał nie tylko mieszkańcom, ale także niszczył unikatowe torfowisko. – Mieszkańcy często pozbywali się ścieków sanitarnych, kierując je bezpośrednio do ziemi lub cieków wodnych – opowiada Agnieszka Łopatka, inżynier środowiska. – Było to niebezpieczne dla ekosystemu torfowiska. Istniało

ryzyko, że zbiornik zostanie trwale skażony.

Agnieszka Łopatka od kilku lat interesuje się torfowiskiem, napisała na jego temat prace dyplomową. O przedmiocie swoich badań opowiada z pasją, narzeka na brak szerszego zainteresowania Zapadź. Żałuje też, że brakuje „rzetelnej, naukowej wiedzy na temat zbiornika.

Szansą dla torfowiska okazał się projekt, na który pozyskano środki z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego. Poprzez budowę kanalizacji możliwa jest ochrona tego okazu przyrodniczego, który mógł zniknąć.

Do roku 2004 budowa kanalizacji sanitarnej była finansowana ze środków własnych gminy i środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach. W latach 2005-07 Miedźna budowała kanalizację sanitarną w sołectwie Góra. Projekt ten był finansowany w 75% ze środków Unii Europejskiej z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Zintegrowanego Programu Operacyjnego Rozwoju Regionalnego.

Szansą dla pełnej ochrony Torfowiska Zapadź okazał się kolejny projekt, na który pozyskano środki z Unii Europejskiej z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Śląskiego na lata 2007-13. Dzięki budowie kanalizacji możliwa jest ochrona tego okazu przyrodniczego przed postępującą urbanizacją.

– Chcemy poprawić jakość wód w Miedźnej, ze szczególnym uwzględnieniem ekosystemu Torfowiska Zapadź – tłumaczy Roman Szromczyk, inspektor z Urzędu Gminy, odpowiedzialny za koordynację inwestycji. – Uda się to osiągnąć poprzez budowę sieci kanalizacji sanitarnej w sołectwie Góra i Gilowice.



Roman Szromczyk

Koszty inwestycji są niebagatelne. Jest ona jednak konieczna, ponieważ nie ma charakteru doraźnego, ale na stałe poprawia sytuację w Miedźnej.

– Do tej pory odpady komunalne były gromadzone w szambach, których podstawową wadą jest fakt, że przepuszczają zanieczyszczenia do gleby, skąd dostają się one do pobliskich zbiorników wodnych – opowiada Szromczyk.

– Dzieje się tak zwłaszcza, gdy podnosi się poziom wód – dodaje Czesław Zachariasz, szef działu inwestycji i remontów Urzędu Gminy Miedźna, kierownik projektu. – Najgorzej było podczas powodzi w 1997 roku, kiedy wzbierająca woda zalała szamba i wszystkie zanieczyszczenia spłynęły do pobliskich rzek i stawów

MŁODY, PROFESJONALNY

W Urzędzie Gminy po wejściu Polski do UE wymyślono sposób na rozwiązanie tego problemu. Połączono dwie kwestie – brak kanalizacji uniemożliwiający rozwój wsi i kwestie ochrony środowiska. Wszystko ujęto w jednym projekcie.

– To była inwestycja przede wszystkim komunalna, torfowisko nam pomogło

– mówią urzędnicy. Mimo że są odpowiedzialni za ten projekt, nie są bynajmniej ekologami. Zapytani o występującą na zagrożonym terenie faunę i florę przyznają, że nigdy się tym nie interesowali. Najważniejszy dla nich jest rozwój gminy oraz to, żeby na całym przedsięwzięciu skorzystali mieszkańcy.

Projekt zakłada, że przy jego realizacji prace znajdą mieszkańcy okolicznych miejscowości, co pozwoli zmniejszyć bezrobocie. Natomiast po ukończeniu inwestycji rozkwitnie turystyka.

– Turystyce na pewno bardzo to pomoże – zapewnia Szromczyk. – To miejsce staje się coraz przyjemniejsze, coraz bardziej zachęca do wypoczynku. Ludzie zaczną tu przyjeżdżać.

Szromczyk mówi rzeczowo. Jest młody, profesjonalny. Wie, jakie cele ma przed sobą wytyczone. Potrafi znaleźć sposób, żeby je osiągnąć.

– Staramy się wykorzystać szansę, jaką daje nam członkostwo w Unii Europejskiej, można pozyskać wiele środków, które pomogą nam rozwiązać nasze problemy i sprawić, że nasza miejscowość będzie się rozwijać – wyjaśnia. Proces uzyskiwania środków, tak jak zwykle w przypadku tego typu inwestycji, nie był łatwy.

– Musieliśmy czekać rok, biurokracja jest przytłaczająca, sam koszt przygotowania projektu to 200 tys. zł – opowiada Czesław Zachariasz. Wniosek został w końcu rozpatrzony pozytywnie, pieniądze wpłynęły na konto i można było rozpoczynać budowę. Kolejne prace ruszyły w lipcu 2009 r. i wciąż trwają. Pierwszy etap jest już ukończony, ale na całkowitą finalizację trzeba czekać do roku 2012.

Mieszkańcy już teraz cieszą się z efektu robót.

– Wreszcie jest kanalizacja i da się żyć na poziomie – mówi pan Henryk, mieszkaniec wsi. – Mieszkam tu całe życie i już przestałem wierzyć, że tu się

MIEDŹNA dostała w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego dla Województwa Śląskiego aż 85% dofinansowania, czyli ponad 10 mln zł.

cokolwiek zmieni. A tu taka niespodzianka.

Agnieszka Łopatka też jest zadowolona z efektów projektu. – Sukcesem jest sam fakt, że torfowisko zostało uznane za użytek ekologiczny i jest objęte ochroną czynną. Zagrożenie dla tej niezwyklej różnorodności przyrodniczej zostało znacznie zmniejszone. Bardzo mnie to cieszy, bo to naprawdę wyjątkowe miejsce. Takich roślin na przykład jak czerwonia pływająca nie spotkamy w prawie żadnym innym zakątku Polski. Uwielbiam to miejsce, przychodzę tu ze znajomymi, odpoczywam.

Dla większości mieszkańców torfowisko jednak nie jest sprawą ważną. Są dalecy od zachwytu nad jego urokami. Nie cieszy ich myśl o paprociach i nieznanym okazach ptaków. Mają swoje problemy. Bardziej martwią się, by przez środek ich gospodarstwa planieci nie pociągnęli drogi.

W Polskiej rzeczywistości taka postawa nie jest niczym niecodziennym. Ekologia uważana jest przez znakomitą większość za ekstrawagancję dla bogatych. Nie ma świadomości wagi problemów, jakie wynikają z niszczenia środowiska. Pewnie z tej przyczyny problemy z torfowiskiem nie zakończyły się. Przy wjeździe na jego teren, kilkadziesiąt metrów od samej wody, leżą wysypane śmieci. Same unijne pieniądze nie zdadzą się więc na wiele, jeśli lokalni mieszkańcy nie dostrzegą, że ochrona tego terenu to istotna sprawa także dla nich. Że jest on ich wielkim kapitałem.

Można oczywiście zżymać się, że dla urzędników torfowisko było raczej środkiem do celu niż celem samym w sobie. Nie zmienia to jednak faktu, że dzięki inwestycji torfowisko zostało uratowane. Nawet jeśli przyroda była tylko pretekstem do napisania projektu, to im więcej takich projektów, tym lepiej. ◆